# ŚWIAT

Nr. 21
22. V. 1937.
CENA 1 ZŁ.

MAJ UKWIECONY





ŚWIAT
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII Nr 21
22. V. 1937

# UROCZYSTOŚCI KORONACYJNE W LONDYNIE



*Cały Londyn, ale przedewszystkiem dzielnice robotnicze, udekorowany był milionami chorągiewek i festonów, nadających poważnemu zazwyczaj miastu charakter odświętny i wesoły.*



*Po dokonanej ceremonii koronacyjnej, która odbyła się w Opactwie Westminsterskiem, rodzina królewska udała się karocami do Pałacu Buckingham i tu ukazała się na balkonie zgromadzonym tłumom publiczności. Od lewej: królowa Elżbieta, obie małe królewny, królowa matka Mary i król Jerzy.*



*Uroczysta chwila, gdy w Westminster - Abbey arcybiskup Canterbury nakłada koronę na głowę królowej Elżbiety.*

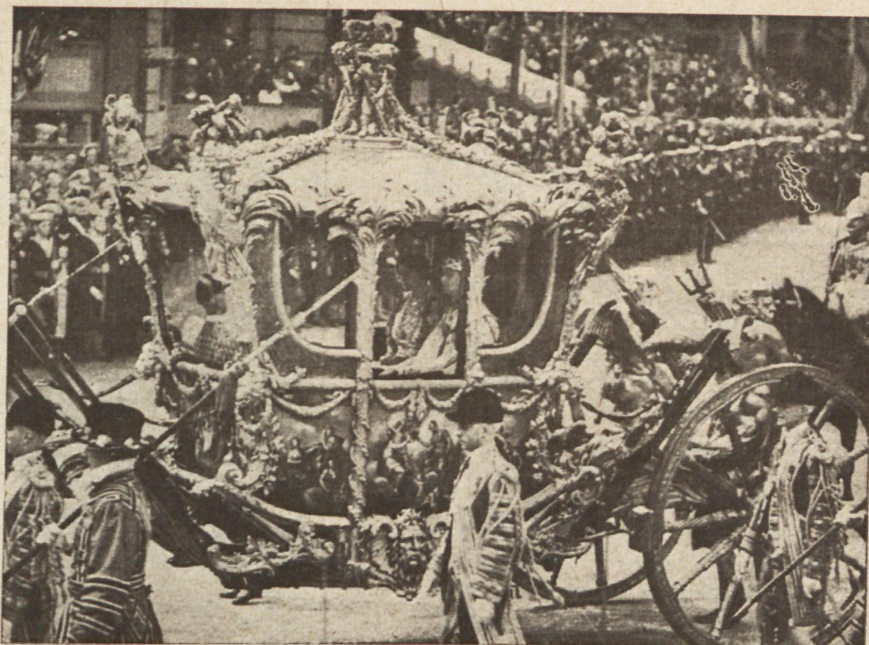


*Punkt kulminacyjny koronacji: arcyb. Canterbury koronuje króla Jerzego prastarą koroną królów angielskich.*

# NA ULICACH LONDYNU W DNIU KORONACJI



*Entuzjazm patrjotyczny anglików przybierał w dniu koronacji formy aż dziwaczne: pewna dama paradowała przed pałacem królewskim, ustrojona w niezwykłą suknię, uszytą z chorągwi brytyjskiej.*



*Przyjazd do Westminster Abbey złotej karocy królewskiej, w której zajęli miejsca król Jerzy i królowa Elżbieta. Miliony widzów na trybunach i chodnikach czekały po kilkanaście godzin na ten widok.*



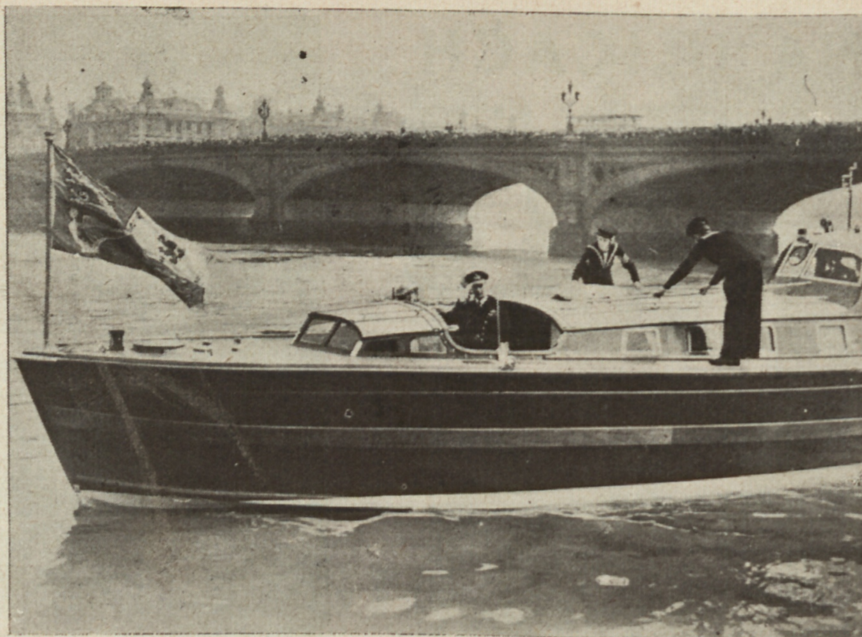


*Miejsca na trybunach, wzdłuż trasy pochodu królewskiego, zajmowano już poprzedniego dnia, instalując się na całą noc z termosami i sandwiczami. Uliczni muzykanci, handlarze czekolady i kwiatów — mieli ogromne powodzenie.*



*Można bez przesady zaryzykować twierdzenie, że kto żył — w dniu koronacj w Londynie był na ulicy. Nieprzeliczone tłumy asystowały orszakowi koronacyjnemu, wznosząc okrzyki na cześć pary królewskiej. Oto Trafalgar Square, nabity publicznością.*

# KORONACYJNE NASTROJE LONDYNU



*Zdjęcie na prawo:*
*Na parę dni przed koronacją król Jerzy i królowa Elżbieta wzięli oficjalnie we władanie Tamizę, odbywając pierwszą przejażdżkę motorówką. Z mostów londyńskich przyglądały się setki tysięcy anglików.*

*Zdjęcie poniżej:*
*Przybyłe na koronację do Londynu oddziały wojska miały ciężką służbę. Oto chwila wypoczynku w parku Kensington.*





*Zdjęcie na prawo powyżej:*
*W słynnem panopticum Madame Tussaud w Londynie już ustawiono figury woskowe angielskiej pary królewskiej w strojach koronacyjnych. Obok małe księżniczki oraz królowa matka Mary.*





*Zdjęcie obok:*
*Przed koronacją król Jerzy i królowa Elżbieta mieli dni bardzo wypełnione. Między innemi przyjęli defiladę tysiąca skautów angielskich.*

# POŁÓW PEREŁ



**Tu l'as voulu, Georges Dandin...**

A wystawa paryska ciągle niegotowa. Jak mówią wtajemniczeni, otwarcie w końcu maja nastąpi „dla honoru domu" — ale będzie to inauguracja w rodzinie, podczas której wycylidrowani panowie w czarnych żakietach przelecą szybkim krokiem między zwałami desek i stosami gruzów. Poczem wystawa zostanie „narazie" zamknięta dla publiczności. Gotowa naprawdę, w całości — będzie zapewne w... lipcu. Najwcześniej. Czyli o trzy miesiące spóźniona...

Dlaczego?

Dużoby o tem mówić. Po niedawnych strajkach — nastąpiły teraz rzeczy gorsze: sabotaż. Oto w ubiegłym tygodniu kilkunastu wandali zniszczyło najdokładniej całkowitą instalację elektryczną w jedynym już gotowym francuskim pawilonie — mianowicie w pawilonie wina.

Elektrotechnicy pracowali z energją zdwojoną na trzy zmiany. Wreszcie o 6-ej rano dnia 12 maja instalacja była skończona. Robotnicy wyszli. W kwadrans potem zjawiło się kilkunastu osobników, oświadczając dyżurnemu stróżowi pawilonu, że zostawili wewnątrz narzędzia i chcą je zabrać. Któż ich tam wszystkich może znać? Stróż wpuścił. Nożycami i obcęgami bezmyślni barbarzyńcy w pół godziny pokrajali i pozrywali wszystkie kable — poczem, niezatrzymywani przez nikogo — najspokojniej wyszli.

Straty — 20 tysięcy franków i kilka dni pracy.

Przed kilku tygodniami jakaś zbrodnicza ręka *podpiłowała* deski rusztowania, po których wspinali się strażacy dla zdjęcia zatkniętych na szczycie komunistycznych sztandarów. Cudem uniknięto ofiar w ludziach. O tych rzeczach mało wiadomo zagranicą — ale francuz, a zwłaszcza paryżanin, z głęboką troską patrzy na te symptomy rozprzężenia.

Komuż je zawdzięcza spokojna, pracowita Francja?

Frazesom socjalisty - miljonera, stojącego u steru rządu.

Tu l'as voulu, Léon Blum...

**Genjusz czy dyscyplina?**

Narody można zgrubsza podzielić na genjalne — i karne. Do pierwszych należą bezsprzecznie narody łacińskie — włosi i francuzi w pierwszym rzędzie. Do drugich — oczywiście niemcy, i w znacznym stopniu narody anglosaskie.

Zastanawiam się często nad tem, w której grupie jest miejsce dla narodów słowiańskich, a specjalnie dla polaków?

Nie mamy na szczęście wrodzonej baraniej karności niemców. Nie mamy niestety fenomenalnej twórczej lotności włochów. Gdzie nasze miejsce?

Rozmyślam nad tem często na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, dwuch, powiedzmy, „najruchliwszych", arterji w stolicy. Zainstalowano tam sygnalizację świetlną dla pojazdów — iżby nikt bliźniemu nie zajeżdżał w błotnik, iżby żaden chłopski dyszel nie dziurawił okien wagonów tramwajowych. I słusznie.

Byłoby wszystko w najzupełniejszym porządku, gdyby te przepisy regulujące ruch pojazdów, dyktowane były olbrzymim... ruchem tychże pojazdów. Ale bywa tak: wracam poczciwą dryndą do domu koło godz. 9-ej wieczorem. Na jezdni szczera pustka — taka pustka, że od Café Clubu do Brackiej, a w drugą stronę do mostu — ani żywej duszy. Od Banku Gospodarstwa do Placu 3-ch Krzyży i do Smolnej — ani kulawego psa. Aż przykro. No cóż — motoryzujemy się...

Ale sygnalizacja — to nie człowiek. To automat. I znak świetlny: *„Stać"* wyskakuje nawet wtedy, kiedy dosłownie możnaby walca tańczyć na środku ulicy — bez niebezpieczeństwa dla życia.

Mój dryndziarz czy szofer — za każdym razem posłusznie staje. Stoimy wprawdzie na pustyni — ale tak każą przepisy. Stoimy — najbezmyślniej. Bo sygnalizacja ma *regulować* ruch — ale nie *hamować* ruch. My jednak — posłuszni — stoimy...

Włoch nie wahałby się ani sekundy. Szofer włoski, pędzący po Rzymie, po ulicach pozbawionych chodników — bez użycia trąbki — włoch, który na skrzyżowaniach porozumiewa się z jadącym z bocznej ulicy kolegą jednem mrugnięciem oka i niedostrzegalnem pochyleniem głowy — włoch nie namyślałby się i tutaj. Jechałby oczywiście — bo na co właściwie ma czekać?

My — choć mamy niewątpliwie więcej lotności od ciężko myślących niemców — stosujemy tu karność niemiecką. Nie potrafimy się zdobyć na rozróżnienie między samowolnym bezładem, a rozumnem orjentowaniem się w sytuacji.

Czyżby i do ruszenia mózgiem niezbędny był jakiś, pożal się Boże, przepis?

Kto wie, czy nadmiarem paragrafów nie paczymy bezpowrotnie charakteru narodu, zabijając jego zdolność myślenia przez wtłaczanie go w niepotrzebne czasem formułki?

**Dekrety królewskie.**

Walka z nieuczciwym handlem nie jest wynalazkiem dzisiejszym. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w minionych wiekach była ona ostrzejsza, bardziej bezwzględna — a co za tem idzie skuteczniejsza.

W roku 1481 król Francji, Ludwik XI, wydał niebanalny dekret, który ośmielam się polecić specjalnej uwadze naszych władz. Dotyczy on fałszerzy artykułów żywnościowych. Oto jego tekst:

„Każdemu, kto sprzedawać będzie mleko rozwodnione, włożony będzie do gardła lejek — i owo rozwodnione mleko wlewane mu będzie dopóty, dopóki obecny przy tem lekarz albo felczer orzeknie, że więcej wlewać nie można ze względu na niebezpieczeństwo życia".

„Ktokolwiek sprzedawać będzie jaja nieświeże, schwytany zostanie i wystawiony na widok publiczny na placu targowym, a jaja rozdane będą małym dziatkom, które ku własnej uciesze i ku radości

widzów, wprawiać się będą w obrzucanie jajami nieuczciwego sprzedawcy".

„Kto podstępnie sprzedawać będzie masło zafałszowane marchwią czy czemkolwiek innem, zostanie przywiązany do pala na placu targowym. Poczem osełka masła zostanie mu energicznie wsadzona na głowę i pozostawiona tam tak długo, dopóki słonko w całości jej nie stopi. Psom wolno będzie zlizywać ze skazanego to kapiące masło, a motłochowi dozwala się wymyślać mu najgorszemi słowami. Gdyby przypadkiem słonko nie grzało dostatecznie, delikwent umieszczony zostanie wraz z masłem na głowie w wielkiej sali więzienia przy mocno napalonym piecu — i tam każdy będzie mógł go oglądać, ku zbudowaniu i uciesze".

Że co, proszę państwa? Że niby nie żyjemy w wieku XV-ym, lecz w XX-ym i że czasy tak barbarzyńskich kar minęły?

Szkoda — powiem szczerze...

### Słuchajcie, słuchajcie...

Koronacja angielska była wspaniała. Sama uroczystość kosztowała 15 miljonów złotych, a goście, którzy na koronację przybyli, wydali lekko licząc — około miljarda złotych.

Ceny za poszczególne miejsca na estradach dla widzów były następujące: najtańsze kosztowały po 100 złotych — ale te już od pół roku były wyprzedane. Miejsca w oknach na trasie pochodu przeciętnie liczone były po 500 złotych. Pokoje w hotelach, leżących na drodze pochodu — wykupione były po cenach fantastycznych: pewien bogacz płacił dziennie 12 tysięcy złotych za pokój, a amerykanie, przybywający na kilka dni, godzili się bez wahania na cenę 35 tysięcy złotych dziennie za apartament.

Poco to przypominam?

Żebyśmy przecież od czasu do czasu — nie mogąc zbliska patrzeć na życie narodów zamożnych — dowiedzieli się chociaż, jak wygląda ich rzeczywistość — i spokojnie przymierzyli ją do rzeczywistości — naszej.

I oduczyli się, w miarę możności, od tępego zarozumialstwa i bezmyślnych frazesów o potędze.

Tylko tyle.

### Wynalazki

Nie naukowe. Psychologiczne. Te które tak lubię, bo dowodzą, że w ludziach nie zgasła fantazja i pomysłowość.

W Nowym Jorku pewien dentysta zrobił majątek. Rwie zęby i plombuje bez bólu, jak zapewniają jego pacjenci. Jakże on to robi? Bardzo zwyczajnie: odwraca uwagę chorego od dokonywanej operacji, puszczając mu przed oczami wesoły i zajmujący film. Takie proste — a takie skuteczne...

Przed kilku laty inny wyrwiząb stosował system znów odmienny: przed pacjentem umieszczone było olbrzymie lustro. W chwili najboleśniejszego operowania przy chorym nerwie pacjent spostrzegał ze zgrozą w tem lustrze, że do gabinetu wkrada się jakiś osobnik, zbliża się do wieszaka, na którym wisi jego, pacjenta, marynarka czy płaszcz — wyciąga chyłkiem portfel — i ulatnia się. Pacjent zapominał o bólu — myśląc tylko o swej stracie. Przy wyjściu zresztą zwracano mu oczywiście „skradzione" kapitały.

System był niezawodny. Ale dentysta go zaniechał. Bo zdarzył się raz sprytny pacjent, który zażądał przy wyjściu... takiej sumy, której w jego portfelu nie było. A że groził sądem — dentysta zapłacił.

I wyrzekł się odtąd swego psychologicznego wynalazku.

### Moralna presja

Pewien nurek pracował w miejscowości Port Artur w Kanadzie. Nie, nie łowił pereł — tam ich wcale niema. Zakładał kable podmorskie. Dnia pewnego, opuściwszy się na dno morskie, oznajmił przez podwodny telefon, że żąda podwyżki płacy, a jeżeli mu nie przyznają, to przetnie liny, łączące go z lądem, i swą śmiercią na dnie morza wywoła wszechświatowy skandal, który bardzo zoszkodzi zatrudniającej go firmie.

I cóż państwo powiedzą? Natychmiast mu dano podwyżkę!

Upartemu nurkowi, poławiającemu perły dla swych czytelników, ta metoda walki napewnoby nic dobrego nie przyniosła.

Konkurent, psiakrew...

### Nieomylność sądu

Nie jestem prawnikiem. Nie mam pojęcia, czy przypadkiem panujące u nas przekonanie, że prasie nie wolno omawiać wyroku sądowego — zgodne jest rzeczywiście z przepisami. Czy przypadkiem nie przeholowaliśmy w lojalności i dyskrecji?

W gazetach zagranicznych — specjalnie francuskich — niejednokrotnie zdarzyło mi się czytać słowa dezaprobaty dla jakiegoś wydanego przez sąd wyroku. U nas — woda do buzi, choćby rzecz prosiła się czasem o pióro satyryka.

Bo czy sąd, w którym zasiadają przecież tylko ludzie — i to ludzie omylni, bo innych niema na świecie — czy sąd, dlatego, że pragnie być jak najsprawiedliwszy — już temsamem staje się nieomylny? Jak że w takim razie wytłomaczyć wyroki różnych instancji, z których każda kasuje i zmienia wyrok instancji poprzedniej?

Proszę. Dwaj przemysłowcy, Biron i Hazner, stanęli przed sądem za to, że sprowadzili do Polski maszyny do fabrykacji wstążek, przyczem w podstępny sposób uzyskali zwolnienie od cła. (Informację czerpiemy z I. K. C.) Sąd okręgowy uznał to za przestępstwo karno-skarbowe i skazał ich na 200 tysięcy zł. grzywny i 3 i pół roku więzienia.

Sąd apelacyjny uważał, że nie jest to przestępstwo karno - skarbowe, tylko oszustwo — przeto uwolnił oskarżonych od grzywny, a więzienie zredukował do jednego roku.

Sąd Najwyższy odmiennego był zdania: przestępstwo uznał z powrotem, jako karno - skarbowe i polecił przeprowadzić sprawę ponownie.

Nieomylność sądu? A bodajże was...

### Labirynty importu

W rozmowie swojej z dziennikarzem z I. K. C. nowy poseł brazylijski w Warszawie zaznaczył, że kawa brazylijska, importowana do nas, kosztuje w Gdyni na statku 4 złote kilo.

Ta sama kawa, po opłaceniu cła i „godziwego" zarobku hurtownika oraz detalisty — kosztuje już 18 złotych kilo...

### Dać ludziom żyć

Premjer Składkowski rozesłał w tych dniach do wszystkich ministrów i wojewodów okólnik, zaczynający się od słów: **Zakazuję urządzania wszelkich obchodów z okazji 10-lecia służby urzędniczej".** Szerokie rzesze odetchnęły. Zwolniono je za jednym zamachem od „spontanicznych" uroczystości, które już ludziom kością w gardle stawały i były kopalnią drwin dla humorystów. Premjer chce, aby społeczeństwo było karne. Ale okólnikiem swoim dowiódł też, że wcale nie chce, aby społeczeństwo składało się z lizusów.

### Wyczyny

Sowiecka gazeta „Za industrjalizacju" podaje efektowne wyniki pracy niektórych gałęzi przemysłu w Bolszewji.

Fabrykę w Ufie zbudowano kosztem 100 miljonów rubli. Od roku 1934 miała ona produkować 70 tysięcy motorów rocznie. Ileż wyprodukowała?

W roku 1934 — ani jednego motoru.

W roku 1935 — 5 motorów.

W roku 1936 — 32 motory.

### Formy fetyszyzmu

Masy lubią kino — i wielbią „gwiazdy" filmowe. Ktoś sprytny postanowił w związku z tem zrobić grubszy grosz na fetyszyzmie tłumów. Otworzył w Londynie sklep z obuwiem — z wyranżerowanem obuwiem gwiazd filmowych.

Bo, jak wiadomo, gwiazdy i gwiazdorzy zmieniają nieprawdopodobne ilości par obuwia do każdej roli. Zmieniają — ale nie niszczą. Więc wielbiciel talentu Katarzyny Hepburn postawi sobie jej pantofelki w salonie na kominku, adorator boskiej Grety ulokuje jej trzewiczki w gabinecie na swem biurku, a kinomanjaczka z pod znaku Gary Coopera umieści parę jego długich butów w swym buduarku, w oszklonej gablotce.

Cóż — na głupotę ludzką niema lekarstwa.

A spryciarze są od tego właśnie, żeby na tej głupocie zarabiać.

### Dwie miary

Kiedy zwyczajny, szary człowiek, obywatel drugiej klasy, popełnił, powiedzmy, jakąś „niedokładność" — mowy niema, aby umknął sprawiedliwości. I jest świetnie. Gdzieżbyśmy zajechali, gdyby przestępcy mieli zapewnioną bezkarność?

Ale gdy chodzi o instytucje państwowe...

Czytamy — i wierzyć nam się nie chce.

Skandaliczny, pełen wręcz sensacyjnych momentów proces łapowników przy podkładach kolejowych — obfitował w rewelacje, o jakich się filozofom nie śniło. Prokurator Missuna stwierdził w swem przemówieniu, że **już w roku 1928** Najwyższa Izba Kontroli Państwa zwracała uwagę władz na szkodliwość umowy z Polsko-Belgijskiem Towarzystwem Impregnacji Drzewa. „Każdy dzień trwania tej jedynej w swoim rodzaju umowy jest szkodliwy dla Państwa — należy ją zerwać za wszelką cenę" — brzmiała opinja N. I. K.

Łapownicy z pośród urzędników zarabiali miljony, oszukańcza firma zarabiała miljony — a tracił Skarb Państwa, czyli my wszyscy. I traciły koleje — bo kupowały tandetę za drogie pieniądze.

Czy postąpiono zaraz według ostrzeżenia i nakazu N. I. K.?

Czy już w roku 1928 zerwano haniebną umowę?

Czy przerwano obławianie się złodziei i oszustów?

Ach, nie wymagajmy od urzędów nadmiernego pośpiechu.

Sprawa sądowa odbyła się — w roku 1937...

W dziewięć lat po druzgocącej opinji N. I. K., której żaden z urzędujących dygnitarzy nie wziął wówczas pod uwagę.



### Chcę mieszkać na Pradze

Nie mam przyjemności znać osobiście ani nawet z widzenia starosty Iszory, urzędującego w starostwie prasko - warszawskim. Mam o nim jednak jak najlepsze pojęcie, bo wielokrotnie dowiódł, że nie jest automatem, lecz człowiekiem.

Był on pierwszym starostą w stolicy, który wydał zakaz nocnych hałasów i harców radjowo - gramofonowych przy otwartych oknach. Pierwszym, który surowo karał brudy w sklepach spożywczych. Pierwszym, który nakazał swoim podwładnym używać w mowie i piśmie języka ludzkiego, polskiego, zamiast języka urzędowego.

Teraz zaś zakazał surowo motorówkom hałaśliwych harców po Wiśle z otwartym tłumikiem. Mieszkańcy Powiśla będą mu wdzięczni, a sportowcy nauczą się jeździć kulturalnie, tj. szanując cudzy spokój.

Nie zdziwiliśmy się wcale, że premjer, przybywszy w ubiegłym tygodniu na lustrację do starostwa praskiego, zastał wszystko w porządku. Nietylko to jest ważne, że o ósmej wszyscy urzędnicy byli przy swych biurkach. Ważniejsze jest to, że w tem starostwie, za przykładem z góry, panuje dążenie do ładu i porządku, oparte nie na suchym biurokratyzmie, lecz na istotnem poczuciu potrzeb mieszkańców.

Wydaje mi się, poprostu, że starosta Iszora jest prawdziwym europejczykiem, rozumiejącym doskonale zakres, charakter i odpowiedzialność swych funkcji urzędowych.

Tak rzadko mi się zdarza okazja uradować jakiemiś pociągnięciami urzędowymi, że tem mocniej podkreślam zasługi praskiego starosty. Premjer szczodrze rozdzielił w urzędzie starostwa odznaczenia i remuneracje. Doskonale, niech to będzie przykładem dla innych.

### W samą porę

Donoszą z Wilna, że niejaki Glajzer, powołany do wojska, zapadł na śpiączkę. Akurat w takiej chwili. Śpi już piąty dzień. Czy się aby obudzi?

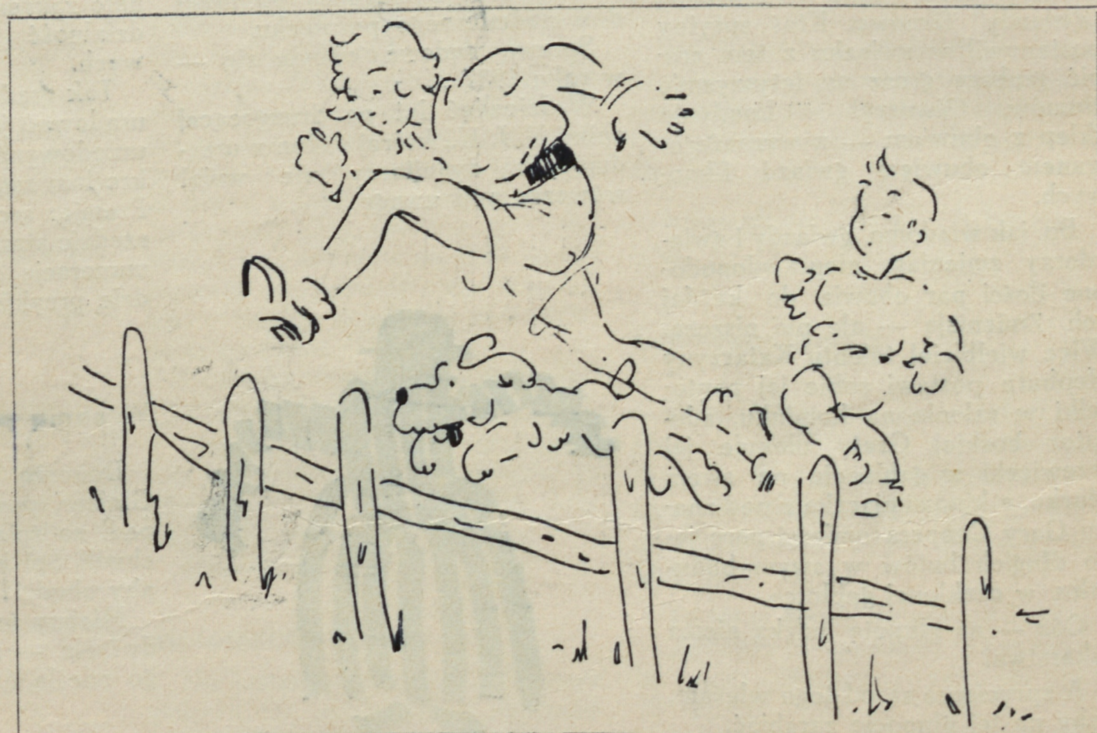
Miejmy nadzieję, że tak. A kiedy? No — zapewne wtedy, kiedy go odeślą do domu...

*Uparty nurek.*

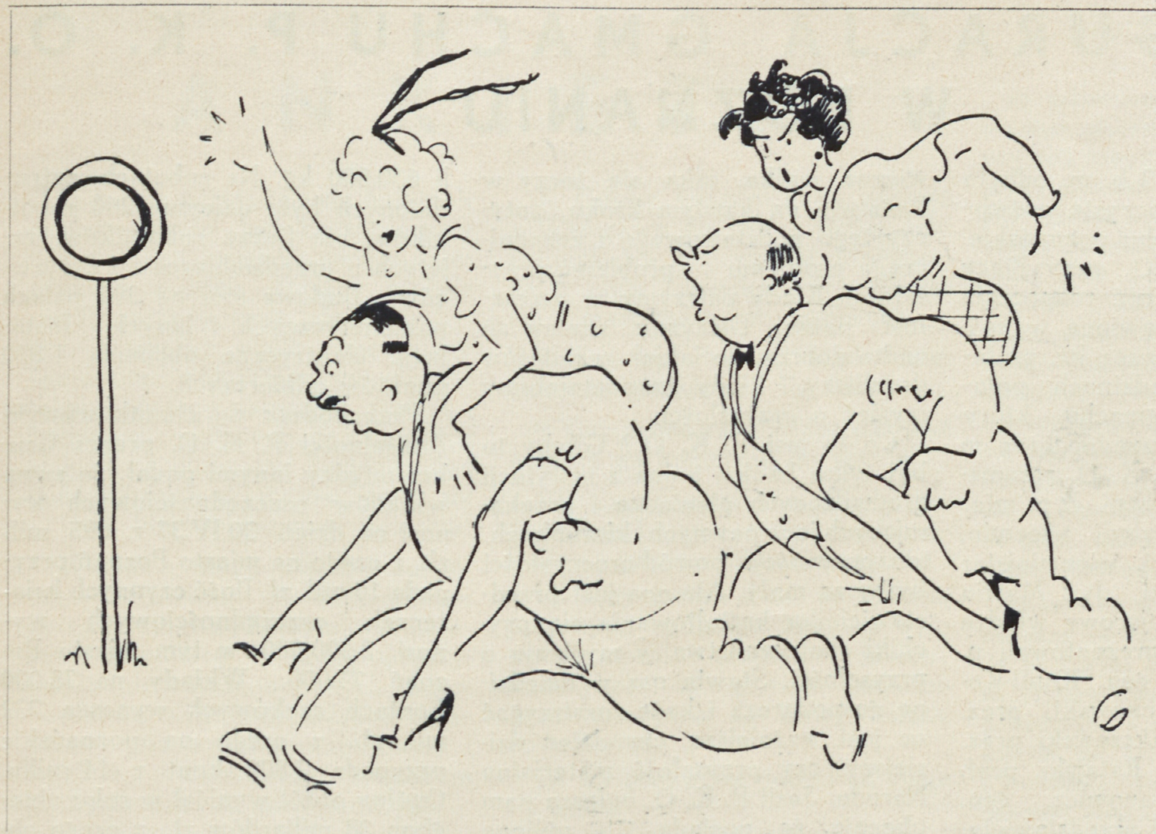
# SPORT I ŻYCIE WYTWORNE

*rysunki* Małgorzaty **Wajchłówny**

*Rekordy pływackie na mieliźnie*



*Forsowny trening rodzinny*



*Sezon wyścigów rozpoczęty*



*W szale tańca na Bielanach*

# INAUGURACJA GMACHU P. K. O. W POZNANIU

W niedzielę, dn. 9 b. m. odbyło się w Poznaniu uroczyste poświęcenie nowego gmachu poznańskiego oddziału P. K. O., przy Placu Wolności. Uroczystość rozpoczęła się Mszą św., odprawioną w kościele parafialnym przez ks. prałata Taczaka. W godzinach południowych, w halu gmachu, który będzie w dzień powszedni terenem codziennej pracy P. K. O. zgromadzili się wszyscy obecni. Z p. min. Kwiatkowskim przybyli wicemin. Kajetan - Morawski, wiceminister Rose, dr. Rakowski, dyr. Martin oraz Barański. Miejscowe władze i społeczeństwo reprezentowali p. woj. Maruszewski, gen. Knoll-Kownacki, prez. Więckowski, prez. Kałamajski, prez. Zakrzewski, prez. Żychliński, b. prez. Ratajski, prof. Taylor, prof. Ohanowicz, gen. Wład, oraz b. liczni przedstawiciele sfer wojskowych, gospodarczych i społecznych. Przybyłych witali gospodarze: dr. Gruber, prezes P. K. O. oraz dyrektor oddziału poznańskiego p. Kowalski.

Aktu poświęcenia w zastępstwie J. Em. ks. kardynała Prymasa Hlonda dokonał J. E. ks. biskup Dymek.

Po dokonaniu poświęcenia gmachu przemówienie wygłosił J. E. ks. biskup Dymek.

Z kolei zabrał głos p. wicepremier Kwiatkowski, mówiąc:

„Mamy dziś uroczystość, która tylko pozornie jest lokalną, a w rzeczywistości jest ogólną. Przecież nie otwieramy jednego z tysiąca gmachów, które są rozsiane po całej Polsce. To co powstaje, to jest jedna wielka szkoła, posiadająca głębokie znaczenie gospodarcze, które sięga do głębi instynktu człowieka. Odbywa się dziś w Poznaniu symboliczne święto, w którem docieramy do tych sił, które od najdawniejszych czasów tkwią zarówno w jednostce, jak i społeczeństwie. Reprezentuje ono walkę, która się odbywa nie w imię interesu dzisiejszego, lecz w imię przyszłości. Ona toczy się wszędzie. Już małe dziecko, które idzie do szkoły, uświadamia sobie, co jest ważniejsze, czy dzisiejszy dzień — radosna zabawa — czy przyszłość. Również człowiek idący do kościoła musi rozstrzygać wielki problem walki co ważniejsze, czy życie dziś czy przyszłość. Ta ustawiczna walka, jaka się toczy w Państwie na każdym kroku, dotyczy tego podstawowego i zasadniczego problemu — problemu przyszłości. Kiedy patrzymy w przeszłość naszej Ojczyzny, wiemy aż nadto dobrze, do jakich rezultatów doszliśmy, kiedy zapomnieliśmy myśleć o przyszłości.

Co to jest P. K. O.? Gdyby to był tylko bank i jedna z instytucji gromadzących pieniądze i przekazujących je w pewnych kierunkach, to rzeczywiście powód uroczystości byłby za mały. Ale ona jest przedstawicielką kształtowania się psychiki społeczeństwa w myśleniu o przyszłości. Stawia nas w dziedzinę gospodarczą i każe rozstrzygać co jest ważniejsze, czy dzień dzisiejszy, czy przyszłość materialna Narodu. Jeśli P. K. O. ogłasza nam obecnie, że posiada 2½ miliona składkowiczów, to znaczy, że w społeczeństwie polskim z 10 milionów obywateli z rodzinami jest pod jej wpływem. Jest to więc olbrzymia szkoła. Jest Instytucją, która codziennie uczy 10 milionów ludzi, że przecież i w przyszłości powstaną ważne zagadnienia i one muszą być rozwiązane. Dla tego w imieniu Rządu i w imieniu własnym jako aktualnie odpowiedzialny za bieg spraw gospodarczych i finansowych Polski, składam gorące życzenia, ażeby P. K. O. w swoich zamierzeniach osiągnęło jaknajwiększe rezultaty".

Imieniem m. Poznania przemówił prez. Więckowski, dziękując kierownictwu P. K. O. za wybudowanie pięknego gmachu w Poznaniu.

Ostatni przemówił prez. Kałamajski.

Odpowiedział mówcom prezes P. K. O. dr. Gruber. W serdecznych słowach podziękował wszystkim dostojnym gościom za zaszczycenie uroczystości poświęcenia gmachu P. K. O. w Poznaniu. Następnie w dłuższym przemówieniu podał cyfry, dotyczące wzniesionego gmachu. I tak budowę rozpoczęto z końcem 1935 r. Koszt wyniósł 2 i pół miliona złotych. Kubatura gmachu wynosi 32.000 m.$^3$, przestrzeń zajęta przez gmach 1.740 m.$^2$ Przy budowie zużyto: cegły 1.600.000 szt., cementu 1.500.000 kg., wapna 600 m.$^3$, stali 650.000 kg. Na robotach zatrudnionych było dziennie 200 robotników, nie licząc robotników, zajętych u przedsiębiorców i dostawców. Budowa stoi na 305 palach pneumatycznych i lanych. Instalacje elektryczne obejmują 1.820 punktów odbiorczych.

Przechodząc do charakterystyki działalności P. K. O. prezes Gruber między innymi podał, że suma wkładów oszczędnościowych wynosi na dzień 30.IV.37 r. 695 mil. zł., z czego na miasto Poznań przypada 15 mil. zł. Ilość czynnych książeczek oszczędnościowych wynosi 2.500.000 w tym miasto Poznań 75.000. Wkłady na 78.000 kontach czekowych wynoszą 232 mil. zł., z czego na poznańskie przypada 7.800 kont z 14 miljn. Ogólny obrót wyniósł w roku ubiegłym 28 miliardów zł., z czego obrót m. Poznań 2.360 miln. zł. Kredyt udzielony przez P. K. O. na województwo poznańskie za pośrednictwem samego tylko Banku Gospodarstwa Krajowego wyniósł 27 miln. zł., łącznie zaś z kredytem udzielonym za pośrednictwem Banku Rolnego i Banku Związku Spółek Zarobkowych 42.500.000.

Projekt architektoniczny gmachu i roboty budowlane wykonały firmy poznańskie. Przy budowie zastosowano zasadę korzystania z firm poznańskich, poza nielicznymi wypadkami, w których firmy tutejsze nie mogły się podjąć wykonania zamówień. W tych jednak nielicznych wypadkach firmy zamiejscowe zobowiązano do korzystania z robotnika miejscowego. W rezultacie rynek poznański — kończył prezes Gruber — pokrył ponad 80% zapotrzebowań, związanych z budową gmachu.

W zakończeniu uroczystości urzędniczki oddziału poznańskiego P. K. O. wprowadziły na salę sześcioro dzieci powstańców wielkopolskich, którym wręczono książeczki oszczędnościowe, jako podarunek od P. K. O.

Po tym odbyło się w lokalu nowego gmachu śniadanie dla gości.

Piękny gmach P. K. O. skupiał uwagę publiczności przez cały dzień. Stale gromadziły się przed nim tłumy publiczności. Wieczorem gmach był pięknie oświetlony reflektorami.

*WŁODZIMIERZ ŁUKASIK*

# ANKIETA

Jedną z największych bolączek naszego życia jest bezsprzecznie ankieta. Pod postacią małego, niewinnego świstka papieru wciska się do naszego domu zdradliwa hydra, piekielny stwór, spędzający sen z oczu najuczciwszym obywatelom, burzący szczęście, spokój i harmonię rodzinnego ogniska. Ileż cichych i głośnych tragedii, ileż nienapisanych dramatów kryje się za tym biurokratycznym upiorem!

Walka z plagą ankiety rozpoczęta od dawna, nie dała jeszcze dotąd pozytywnych wyników. Zbieranie informacji — drogą wypisywania nieprawdopodobnych odpowiedzi na nieprawdopodobne pytania — jest nadal powszechnym i legalnie stosowanym sposobem zdobycia danych statystycznych.

Żeby ostatecznie i bez reszty uwolnić naród od straszliwej zmory, postanowiliśmy podać doskonały przykład ankiety wzorcowej. Wystarczy by każdy obywatel odpowiedział szczerze i uczciwie na postawione mu pytania — a wszelkie inne druczki staną się zbędne i bezużyteczne. Poniższy wzór, opracowany starannie i metodycznie, może mieć zastosowanie w każdym środowisku, partii czy grupie, ze szczególnym uwzględnieniem ludności wiejskiej tudzież mniejszości narodowych.

Tylko tą drogą zdobędziemy całkowity i dokładny obraz nietylko o każdym obywatelu, ale i zbiorowisku, do którego dana jednostka należy.

Za tym pióro do ręki i piszemy:

1. Jaki jest Pana(i) stosunek do otaczających zjawisk: do ludzi, do natury, do polityki, sportu i zagadnień metapsychicznych? Jeśli nie — to dla czego?

2. Co Pana skłoniło do przestąpienia 27-go 35-go, 71-go, 121-go, 354-go, oraz 357-go paragrafu kodeksu karnego? (Niepotrzebne skreślić, potrzebne dodać).

3. Jakie Pan ma wobec tego widoki na przyszłość? (Amnestja, zawieszenie, urlop, darowanie kary).

4. Czy był Pan karany? Czem?

5. A przekonania? Czy jest Pan radykalnym neosocjalistą czy ortodoksyjnym masochistą?

7. Gdyby kazano Panu zanieść z Warszawy do Kutna łóżko, jaki gatunek by Pan wybrał (drewniane w stylu Ludwika XIV, metalowe z materacem, czy polowe?).

8. Czy był Pan już kiedy dziedzicznie obciążony? Ile razy?

9. Czy próbował Pan już pisywać wiersze na maszynie do szycia?

10. Czy używał Pan kiedy podwójnego imienia, wykałaczek, naftaliny i papieru higjenicznego?

11. Czy uważa Pan, że główną przyczyną ogólnego kryzysu było wprowadzenie maszyn i jakich? (Maszynek do golenia, zapalniczek, maszynek do kawy, mięsa, do włosów).

12. Ile godzin na dobę Pan sypia i z kim?

13. Co Pan sądzi o paleontografii?

14. Jaką protezę chciałby Pan nosić w miejscu uciętej nogi? (Lakierowaną, czy z surowego drzewa?).

15. Czy rodzice Pańscy posiadali dzieci, czy też umarli bezdzietnie?

16. Czy w rodzinie Pańskiej dementia senilis była wypadkiem częstym czy odosobnionym?

17. Czy próbował Pan leczyć angielską chorobę w śrubsztaku?

18. Czy sprawiałby Panu różnicę gatunek trumny, w której miałby Pan ewentualnie spoczywać?

19. Jak Pan odróżni Corneille'a od Racine'a kiedy o obydwóch nic Pan nie słyszał?

20. Do czego używa Pan grubych książek o treści naukowej? (Podkładki pod krzywy stół, podstawki pod lampę, przycisk i t. d.).

21. Co zawdzięcza Pan w życiu t. zw. szczęśliwemu trafowi a co artretyzmowi?

22. Jak Pan zmierzy odległość z ziemi do księżyca, posiadając tylko szkło powiększające, termometr i składany fiński nóż?

23. Co Pan sądzi o Momsenie?

24. Co by Pan zrobił w tym przypadku?

25. Co słychać?

## Słuchamy płyt

Po całym szeregu banalnych, a nieraz zupełnie słabych nagrań Chór Juranda powrócił znowu do dobrej formy. Tango „Moja piosenka tęsknotą płonie" jest ładną i łatwo wpadającą w ucho melodią, bardzo starannie wykonaną. Kiedyś, przed paru laty lwowski chór Erjana śpiewał „Modną piosenkę", otóż ta „Moja piosenka" barwą i nastrojem całości trochę tamtą przypomina, tylko dość szczęśliwy pomysł naśladowania piły wprowadza pewną odrębność. Na odwrocie płyty melancholijne tango p. t. „Jesień" nowej spółki autorskiej: Markowski — Kowalski. Przyciszone i zmatowane głosy chóru Juranda podkreślają jeszcze monotonję melodji.

Niezawsze moda jest roztropna i uzasadniona ale nad wyraz słuszna jest moda na Lucynę Szczepańską. Jej nagrania na płytach „Syreny" osiągają rekordowe powodzenie, a świeży i wdzięczny głos, którym tak hojnie szafuje brzmi czysto i naturalnie. Dwie piosenki, ze ślicznej operetki Jone'a „Gejsza", w zmienionym trochę układzie Andy Kitschmann: „Tańcz mała gejszo" i „Złota Rybka" znalazły w Lucynie Szczepańskiej wyjątkowo kulturalną interpretatorkę.

Mało znany śpiewak Marjan Demar obdarzony niewielkim, ale miłym bardzo głosem, o timbrze włoskiego canzonisty jest również autorem słów do piosenki „Nie zapomnij mnie" (Non ti scordar di me).

Dziwnie słabo tym razem wypadły piosenki nagrane przez Mieczysława Fogga. Ani pod względem melodji, ani wykonania nie wyszły poza ramy przeciętnej banalności. I tango „Będę czekał" i piosenka „I dla nas nadejdzie kiedyś wiosna" nie odznaczają się niczem ciekawym. Nie wiem komu przyszło do głowy wznowić modną przed wielu, wielu laty „Jawę". W każdym razie pomysł był szczęśliwy, a Jean Vaissade, wykonawca płyty, okazał się b. zdolnym akordeonistą. Że „Java" ta, zbyt może przypomina paryskie bulwarowe piosenki, a mniej salonowy taniec — to już wina francuskiego temperamentu Jean'a Vaissade. Na odwrocie skoczna poleczka „Delecta" w tym samym wykonaniu.

Z pośród angielskich nagrań „Syreny" pierwszeństwo trzeba oddać rumbie p. t. „Juba" w wyk. ork. Jack'a Payn'a. Jest to chyba jedno z najlepszych nagrań z matryc zagranicznych. Bogata instrumentacja, pomysłowe przeprowadzenie melodji, cały szereg małych solowych arcydzieł, zwłaszcza świetne zakończenie — wiążą się w jedną mistrzowską całość.

*H.*

*WŁ. BURKATH*

# ŁOTWA WSPÓŁCZESNA



*Widok starej Rygi*

Dziwny to kraj i dziwni to ludzie. Przez siedem blisko stuleci pozbawieni wolności, podlegli kolejno, Krzyżowcom, Szwedom i Rosji carskiej, nie zatracili ani języka, ani odrębności narodowej. Przy trzech miljonach mieszkańców posiadają obecnie dwie wyższe wszechnice, parę scen operowych a co najciekawsze — zero analfabetów Brak im sił roboczych w dobie powszechnego kryzysu, angażują więc robotników rolnych z Polski...

Aby się o tym wszystkim przekonać wystarczy zrobić krótki „wypad" do pobliskiej Łotwy. Kto jej nigdy nie widział, wiele zobaczy i wiele się nauczy. Ten, kto był w Rydze kilka lat temu — poprostu jej nie pozna. Znikają z każdym rokiem ślady dawnej „rosyjskości" miasta, nazwy ulic, nadane im przez zaborców, całe kompleksy starych, bezwartościowych kamienic, zasłaniających widok na wspaniałe, monumentalne świątynie. Stara Ryga, pamiętająca wiek XIII-y rozsiadła się dumnie tuż nad samą Dźwiną. Dość jest spędzić tam jedno przedpołudnie, aby odtworzyć sobie obraz średniowiecza. Góruje nad tą dzielnicą wysoka, w bałtyckim stylu wzniesiona wieżyca Kościoła Katedralnego. Ale dookoła tumu dziś jakże przestronnie. Znikły rzędy niskich domków, zasłaniające perspektywę. Tum uwolnił się z wiążących go, jak ongiś Łotwę, okó w caratu. Jakże cudnie odbijają się jego szczyty w zielonkawej wodzie Dzisny. Labirynt wąskich uliczek wiedzie nas ku centrum miasta. Jak w starym Gdańsku kamienice rywalizują ze sobą szerokością i strzelistością, przytem znać w ich wyglądzie dbałość konserwatora. Olśniewa poprostu plac z koronkową kamienicą Czarnogłowych, gdzie tak pozornie niedawno byłem świadkiem podpisania znamiennych paktów z bolszewikami. Tu, jak w Pradze Czeskiej u stóp Mostu Karola — przemawia do mnie najbezpośredniej — średniowiecze. Jeszcze parę ulic i przez Kalkuiela dostaję się ku nowoczesnej stolicy. Wzdłuż bulwaru Asparii, (najwybitniejszej poetki łotewskiej), zgrupowane są najcelniejsze ośrodki kultury: wielkie księgarnie, gmach rozgłośni łotewskiej z bardzo stylowymi wnętrzami, wreszcie Opera Narodowa. Staję przed witryną łotewskiego Gebethnera — Valtersa i Rapy i przyglądam się wydawnictwom. Leżą przedemną wielkie in folia „dajn", czyli pieśni ludowych. Posiada ich Łotwa ni mniej, ni więcej jak z górą 200 tysięcy. Są one jedną z osobliwości kulturalnych tego kraju. Chcąc poznać pokrótce *duszę Łotwy*, trzeba koniecznie otworzyć tom zbiorów Kriszjana Baronsa. Wówczas zrozumie się dlaczego ten dziwny lud pomimo siedmiu stuleci niewoli zdołał pozostać s o b ą.

Dajny łotewskie to drobne, ale przedziwne poemaciki bezimiennych utworów ludowych pisane epizodycznie, są to niby westchnienia do wolności na marginesie pracy ciężkiej, często poniżającej z czasów niewoli.

W świetle kinkietów wielkiej księgarni, przeglądam księgę Baronsa, bo przeczytać jej z uwagi na rozmiary nie sposób — —

„Kiedy idę do młyna,
Kiedy młócę moje zboże
Kiedy orzę, lub sieję —
Śpiewam pieśni — —

...idę w pole, śpieszę w pole
bo w ziemi jest radość moja,
bo tam wstaje dla mnie słońce,
i tam zachodzi.

albo

...Za Dźwiną kogut srebrny pieje
a z brzega wtóruje mu słowik złocisty --

A zatem ś p i e w, który wśród przejawów kultury łotewskiej zaj-



*Powrót z kościoła*

muje miejsce naczelne. Śpiew — umiłowanie narodu, dzięki któremu być może Łotwa zdolną była przechować najcenniejsze wartości w postaci tradycyj narodowych. Po drugiej stronie bulwaru Asparii, w gmachu Opery ryskiej spotykam te same wartości artystyczne, znamy je również z niedawnej gościny chórów łotewskiej Reitersa. Trzeba wiedzieć, że śpiew chóralny na Łotwie to potrzeba duszy ludu. W dalekich osiedlach prowincjonalnych i na wsi istnieją amatorskie zespoły, kierowane przez organistów. Studiują one w długie wieczory zimowe fragmenty kompozycyj chóralnych, które raz do roku wykonywane są zbiorowo w stolicy. Na wielkim stadionie ryskim zbierają się wówczas tysiące uczestników Zlotu z całego kraju. Ich barwne ludowe stroje, o wybitnej przewadze koloru białego, stanowią obraz bajecznie malowniczy. Ostatni Zlot liczył przeszło 10 tys. śpiewaków. Wykonywane są (z pamięci i a capella) utwory kompozytorów łotewskich a więc Wiktola Kalnina i Darzina jednego z przedwcześnie zgasłych, bardzo oryginalnych twórców. Trzeba to usłyszeć i — zobaczyć, aby wyrobić sobie sobie o pieśniarstwie łotewskim należyte wyobrażenie. Nie potrzebuję dodawać, że ramię przy ramieniu stają w szrankach chóru ministrowie, wyżsi urzędnicy, wojskowi i — młodzież wiejska. *Znaczenie społeczne* tych zjazdów jest olbrzymie. Bo Łotwa jest krajem par excellence demokratycznym. Od kilku lat, pod wodzą uwielbianego prezydenta, dra Karola Ulmanisa, kraj ten wzrasta w potęgę.

Ukrócenie partyjnictwa, będącego do niedawna groźnym dla państwa łotewskiego niebezpieczeństwem, rozbudowa miast a przede wszystkim ożywiony ruch kulturalny — oto w syntetycznym skrócie refleksy tych kilkuletnich wysiłków niespełna trzymilionowego narodu. W całej twórczości, tak literackiej, jak muzycznej znać zestrzelenie wysiłków społeczeństwa w jednym kierunku — ku umocnieniu niepodległości i gloryfikacji Kraju.

Emanuje to ze sceny „Dailes Teatru", zbliżonego do naszej „Reduty" a jeszcze bardziej do Opery Ryga posiada wybitnych śpiewaków z p. Bechman Stenel Blumentals i Kaktinem na czele. Zamiłowanie do muzyki wielkie. Sam widziałem, jak na zwykłych przedstawieniach operowych sala wypełniona była po brzegi. Druga opera — w Lipawie odgrywa rolę sceny przygotowawczej dla młodych adeptów. Łotwa posiada konserwatorium państwowe, liczące kilkuset słuchaczów. Szczyci się ono tym, że ś. p. Karol Szymanowski był jego honorowym profesorem.



*Łotewka w stroju ludowym*

Ale zamiłowanie muzyczne, zwłaszcza wokalne, to nie wszystko. Danem mi było widzieć premierę nowoczesnego baletu „Miłość zwycięża" z muzyką Jana Medina. Jest to dzieło pisane w sposób tak wyrafinowany, że bez przesady mogłoby się znaleźć na wielkich scenach Zachodu. I znowu folklor w treści i formie, legenda i „dajny", stylizowane przez Liberta (strona choreograficzna) i muzycznie przez świetnego kompozytora — oto osnowa baletu Medina. To samo w literaturze i poezji łotewskiej, którą niestety znamy bardzo mało, na przeszkodzie bowiem stoi brak przekładów. Zato nasz Sienkiewicz i nowocześni pisarze zdobią witryny wielkich księgarni ryskich.



*Wśród wiosennego kwiecia*

Widomym wreszcie znakiem estetyzmu łotewskiego jest wystawiony przed paru laty obelisk ku czci Wolności.

Monumentalność i prostota łączą się znakomicie w jedną całość. Na szczycie tego kolosalnego pomnika wznoszą się białe dłonie westalki łotewskiej ku niebu...

I słusznie, bo ono zasłużyło sobie na wdzięczność tego ludu za dar najcenniejszy, jakim jest Niepodległość.

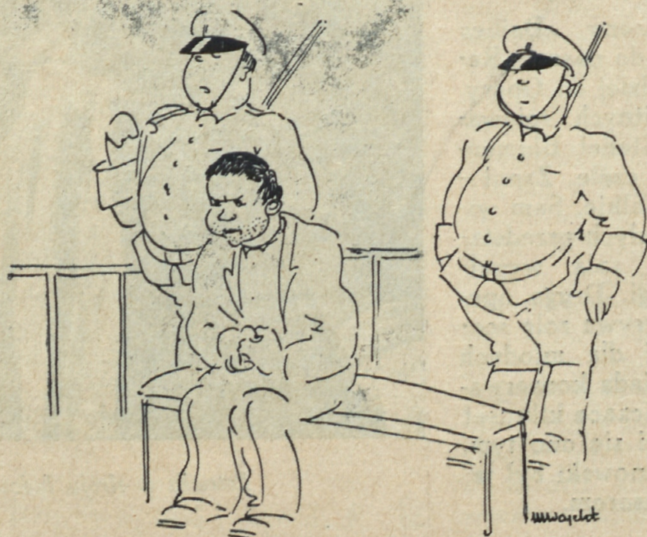
*ANTONI CZECHOW*

# W SĄDZIE

*(ilustracje M. Waichtówny)*

Sala posiedzeń Sądu Okręgowego, korytarze i schody przepełnione były publicznością.

Na ławie oskarżonych zasiadał mieszczanin Sidor Szelmiecow, człowiek trzydziestoletni o ruchliwej cygańskiej twarzy i sprytnych oczkach. Oskarżono go o 1) kradzież z włamaniem, 2) oszustwo, 3) używanie cudzego paszportu. Ostatni występek komplikował się jeszcze używaniem fałszywych tytułów. Oskarżał podprokurator. Imię jego — legion. Nadzwyczajnych zalet, dających mu popularność i sutą gażę — nie posiada: podobny jest do podobnych mu . Mówi przez nos, nie wymawia litery ‚k", co chwilę wyciera nos. Wszystkie te dobre strony nie zmniejszają bynajmniej powagi jego mowy.



*..na ławie oskarżonych zasiadł mieszczanin...*

Bronił znakomity i znany adwokat. O tym adwokacie wie cały świat. Jego wspaniałe mowy są cytowane, nazwisko jego wymawiane jest z uwielbieniem. W marnych powieściach, kończących się zupełnym uniewinnieniem bohatera i oklaskami publiczności. odgrywa on niemałą rolę. W powieściach tych nazwisko jego wywodzą od błyskawicy, pioruna i innych nie mniej przekonywających żywiołów.

Kiedy podprokurator zdołał dowieść że Szelmiecow jest winien i nie zasługuje na pobłażanie, kiedy wyjaśnił i powiedział: skończyłem, powstał obrońca.

Wszyscy nadstawili ucha. Zapanowała cisza. Adwokat przemówił i... nerwy publiczności zaczęły grać. Wysunął swą smukłą szyję, przechylił na bok głowę, błysnął oczami. podniósł do góry rękę. Nieopisana słodycz popłynęła do uszu słuchaczy. Słowa jego zagrały na nerwach jak na mandolinie... Po pierwszych dwóch, trzech zdaniach ktoś głośno westchnął i wyniesiono z sali jakąś bladą damę. Po trzech minutach przewodniczący zmuszony był sięgnąć po dzwonek i trzy razy zadzwonić. Wszystkie źrenice rozszerzyły się, twarze pobladły od namiętnego oczekiwania następnych słów. A co się działo z sercami? Biły i łomotały.

— Jesteśmy ludźmi, panowie przysięgli i będziemy sądzili po ludzku, mówił między innymi adwokat. Zanim podsądny stanął przed wami, człowiek ten wycierpiał sześciomiesięczne więzienie. W ciągu tych sześciu miesięcy żona pozbawiona była ukochanego męża. oczy dzieci nie wysychały od łez że nie widzą swego drogiego ojca! O! gdybyście popatrzyli na te

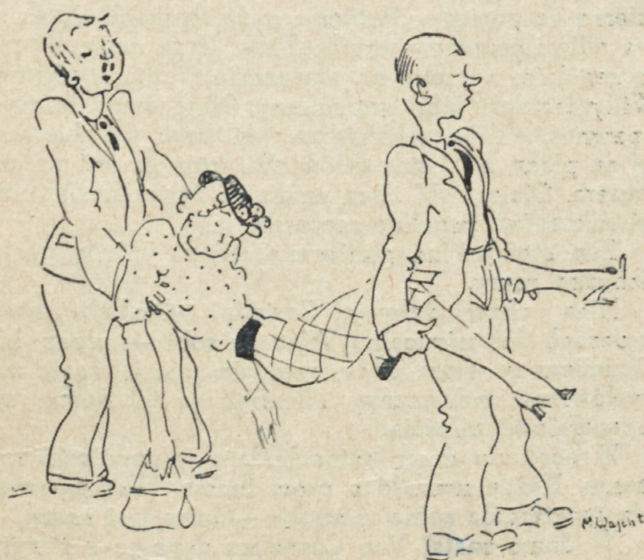


*...popatrzcie... wyciągają do was rączęta, błagając...*

dzieci! Głodne, bo nie ma ich kto nakarmić, płaczące, bo są tak nieszczęsne... Popatrzcie! Wyciągają do was rączęta, błagając, abyście zwrócili im ojca. Ich tu niema, ale wy możecie sobie wyobrazić (Pauza). Rezultat... Hm... Posadzili go razem ze złodziejami i mordercami... Jego! Ofiarę podejrzeń! (Pauza). Trzeba tylko wyobrazić sobie moralne cierpienia w więzieniu, zdala od żony i dzieci, żeby... Ale cóż tu mówić?

Między publicznością dał się słyszeć szloch... Zapłakała jakaś panienka z wielką broszką na piersiach. W ślad za nią poszła jej sąsiadka staruszka. Obrońca mówił i mówił. Nie wspomniał faktów i robił nacisk głównie na psychologię. A psychologia — wiecie sami — działa dziwnie: zagra na każdej strunie.

— Znać jego duszę, to znaczy znać dziwny, samotny świat pełen ruchu... Studiowałem ten świat. Studiując go — przyznaję — po raz pierwszy wystudiowałem człowieka. Zrozumiałem człowieka. Każdy ruch jego duszy przemawia za tym, że w swoim kliencie mam zaszczyt widzieć człowieka idealnego...



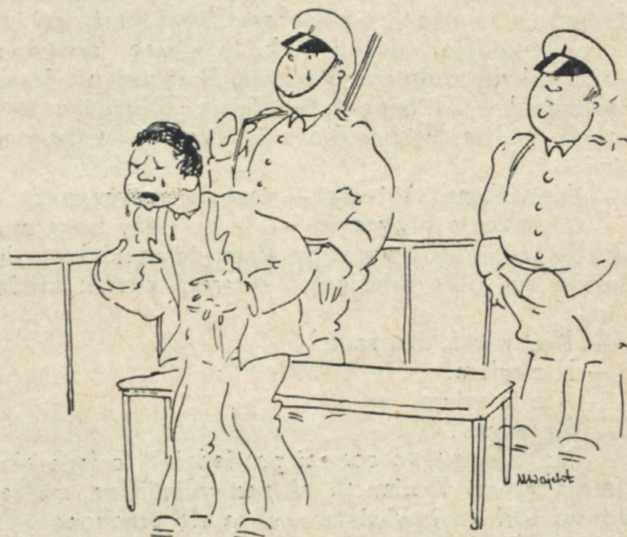
*..wyniesiono z sali jakąś bladą damę..*

W tej chwili wyniesiono z sali jeszcze dwie damy. Przewodniczący zostawił w spokoju dzwonek i nałożył okulary, żeby nie zauważono łezki, wypływającej z jego prawego oka. Wszyscy wyciągnęli chustki. Prokurator — ten kamień, ten lód, organizm bez uczucia, kręcił się niespokojnie na fotelu, poczerwieniał i zaczął patrzeć pod stół. Łzy błysnęły za jego okularami.

— Trzeba było zrzec się oskarżenia! pomyślał, — narazić się na takie fiasko!

— Popatrzcie na jego oczy — ciągnął obrońca (podbródek jego drgał, głos drżał, a w oczach przebijała jego cierpiąca dusza). Czyż te dobre, miękkie oczy mogłyby patrzeć obojętnie na występek? O nie! Te oczy płaczą! Pod tymi kałmuckimi rysami ukrywają się delikatne nerwy! Pod tą ordynarną, niekształtną piersią bije szlachetne serce! I wy, ludzie, ośmielacie się mówić, że jest on winny?

Tu nie wytrzymał i sam oskarżony. I na niego przyszedł czas wzruszenia. Zamrugał powiekami, zapłakał i poruszył się niespokojnie...



*...zapłakał i poruszył się niespokojnie...*

— Winien jestem! przemówił, przerywając obrońcy. Winien! Wyznaję swą winę! Kradłem i oszukiwałem! Przeklęty jestem! Pieniądze wziąłem z kuferka, a skradzione futro kazałem schować szwagierce, przyznaję się do wszystkich win!

I podsądny opowiedział wszystko. Skazano go.

— — — — — — — — — — —

Po skończonej sprawie tłum wielbicieli otoczył obrońcę. Posypały się wszystkie możliwe słowa zachwytu.

— Dziękuję wam panowie! — odpowiedział obrońca. Zwycięstwo moje jednak nie jest zupełne! Ale to nie moja wina... Jeżeliby podsądny nie pośpieszył się ze swym wyznaniem, byłby uniewinniony. Zgubił się sam. Przecież niby mu nie przeszkodziło przyznać się po wyroku... Głupiec!

(przełożyła)
*Zofia Rysińska.*

# ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

Zim milczał dłuższą chwilę.

— Obawiam się tylko jednego...

— Mianowicie?

— Że cię stracę. Środowisko emigracji zupełnie mi cię oderwie, od mojego świata.

— Ależ ja nie mam zamiaru ginąć w tem środowisku. Ani wogóle z nim się mieszać. Chcę pojechać do Paryża, z papą, z Williym czy z tobą, przedewszystkiem poto, by sprawdzić, czy Małczanow jest istotnie tą osobą wpływową która może mi służyć za narzędzie. Jeżeli tak, to wrócę do domu i niech oni do mnie przyjeżdżają. Przecież nie jestem megalomanką. Ja będę tylko firmą. Kierować akcją zaczynu będzie Willy, skoro ty czy my wyruszymy w świat.

— No dobrze. A teraz — trzecia przyczyna?

— O, trzecia przyczyna — ta już leży poza moją wolą. To jest inicjatywa papy. Papa mi radzi, bym ślub odłożyła na kilka miesięcy. Nawet nacisk kładzie na to.

— Nie wiesz dlaczego?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem.

— Ty wiesz?

— No tak, z tego coś mi powiedziała o jego akcji na moją rzecz. Zanim da ci pozwolenie na małżeństwo, no i błogosławieństwo, chce się przekonać, czy mam przed sobą przyszłość, czy nie. Jeżeli wypłynę, to trzeba się liczyć ze mną, w przeciwnym razie — nie będę wart ciebie.



— I to możliwe...

— To nawet nie ulega wątpliwości.

Zim westchnął głęboko.

— Pominąwszy już nawet ten ostatni wzgląd przyznasz, Casimir, że pierwsze dwie przyczyny są ważne.

— Tak, ale decydującą jest ta ostatnia.

— Nie miej żalu do niego. Jest jednak ojcem.

— No i czemś jeszcze, czemu właściwie służy...

— Gniewasz się?

— Skądże znów. Wszystko jest w porządku. Gdybym tego wszystkiego nie wiedział, chodziłbym po omacku, jak ślepy. Dziś panuję nad sytuacją. Jutro jest nasze, Nino!...

Godzina była późna, trzeba było wracać do miasta..

* * *

Nina, Willy, Van Cornelius odprowadzają Kazimierza na pociąg, odjeżdżający do Brukseli, gdzie się ma odbyć pierwszy występ Zima. Papa czuje się nieszczególnie, narzeka na zmęczenie i zawroty głowy. Willy też jest jakiś zatroskany. Nina czuje brawurę i pewność siebie pod każdym względem, ale zbiera się jej na płacz, bo żegna człowieka, którego już nazywa mężem. Ojciec robi „bon enfant" i życzy Kazimierzowi sukcesów, zupełnie szczerze.

Zim stoi już na platformie, bo za chwilę pociąg cichutko ruszy.

Nina chce, żeby jej Casimir odjechał, mając w oczach jej uśmiech. Więc go robi — przez łzy. Kazimierz to widzi, czuje, rozumie, jest jej za to niewysłowienie wdzięczny. Ale boli go to. Serce ma przepełnione miłością.

Wracali do domu samochodem w zupełnem milczeniu. Każde myślało o czem innem. Nina uporczywie powtarzała sobie w myśli: — jutro jest nasze.

W domu zastał Van Cornelius depeszę z Paryża, wzywającą go natychmiast w ważnych sprawach cukrowych.

Pociąg miał za półtorej godziny.

Sam zajął się zbieraniem potrzebnych mu papierów, Nina dyrygowała służącym, układającym w walizie garderobę i bieliznę.

W pewnej chwili Van Cornelius nachylił się nad stojącym na podłodze neseserem, by włożyć tam tekę... zachwiał się i upadł.

Służący podbiegł, by podnieść pana, Nina krzyknęła wprawdzie — ach, ale była pewną, że papa poprostu potknął się o jakiś fałd dywanu...

Mając wszelkie możliwości w ręku stary Cornelius nigdy się nie leczył. Nie miał czasu. Był szaleńcem pracy. Skleroza robiła postępy. Nagły wylew krwi do mózgu...

Nina krzyczała ratunku, Willy przybiegł, zatelefonował po pogotowie, potem po znajomego lekarza, potem jeszcze po jakiegoś sławnego doktora, którzy zgodnie orzekli, że to było lekkomyślnością ze strony rodziny tolerować obojętność nieboszczyka wobec kuracji jodowej. Ale trzeba było dawno zacząć...

Nina i Willy poczuli teraz dopiero razem i jednocześnie wielkie zbliżenie rodzinne. Dotknęła ich

wspólna boleść. Nina płakała rzewnie, szczerze, serdecznie. Willy przy biurku ojca, otwartem jeszcze, porządkował porozrzucane przed odjazdem papiery...

Rulon pergaminowy...

Stary... Litografja zblakła, w nikłym, złotawym kolorze tekstu. Łatwiej było czytać wstawione wyrazy pisane atramentem... Co za śliczna robota!...

Co to jest?...

U góry niewyraźna już gwiazda z jakiemiś znakami. Z lewej strony drzewo... Ale jakie?... Chyba akacjowe!...

Z prawej — obelisk...

Pokryty hieroglifami...

Badawczy Willy zaczął liczyć kamienie... Dwadzieścia dwa...

Posąg Izydy... Kolumna strzaskana... Symbole budownictwa, miłosierdzia... Obramowanie — sznur wiązany węzłami...

Lew, cyrkle...

Pieczęć w blaszanej oprawie... Feniks...

— Co tu podpisów!... A przy każdym symbol i cyfra — 3, 4, 25, 30, 33...

Naprzód wyraźnie — — —

Souverain du Chapitre d'Isis, vallée de Paris... Trudno przeczytać...

„Nous très sage et Officier du Chapitre d'Isis".. Ząb czasu...

„...certifications, que Jean Van Cornelius, natif de la Haye, agé de 34 ans"...

Czterdzieści lat temu...

.....a été reçu, admis et promulgué au grade... Zatarte litery..

* * *

Zim wszedł do hotelu „des Flandres", stanął przy „Recéption" i wypisał na blankiecie swoje personalja. Portjer rzucił okiem:

— Jest telefonogram do pana z Hagi.

Długo stał w milczeniu, oparty o barjerę... Wpatrywał się w blankiet hotelowy...

— Stracił pan gościa... O której mam pociąg do Hagi?... Jeżeli nie zaraz, to wezmę samolot... Proszę tymczasem o numer telefonu tutejszego Uniwersytetu Ludowego.

Prosił o odłożenie odczytu, z powodu śmierci teścia.

Po pogrzebie — przygnębieni nieoczekiwanym pogrzebem — siedzieli w holu — Zim i Willy.

— Teraz już nie rozumiem, Casimir. Jeżeli nasz wypadek w Kopenhadze nie mógł przyjść z *tej* strony, bo tu, jak widzisz, panował mój ojciec, ani od dawnego środowiska Niny, to czy nie był zwykłą banalną katastrofą samochodową?

Kazimierz długi czas nic nie odpowiadał. Ważył.

— Nie... Bo Hans był zbyt wprawnym szoferem, kierownica nie była pęknięta, oglądałem ją zwęgloną i zniszczoną, ale nie była pęknięta. Stal i drewno były bez zarzutu.

— Tego się nigdy nie dowiemy. Hans przeszedł do wieczności z tajemnicą. Ograniczmy się do tego, iż wiemy, kto był przyczyną. Milczenie jest może — — *Złotem*.

Parę tygodni przeżyli zajęci regulowaniem licznych spraw, kóre nabrały teraz innego wyrazu i miały inne decyzje, potem wszyscy troje wyruszyli w świat, by kolejno spełniać swoje zadania indywidualne.

Ale w myśl idei łączącej.

K o n i e c





## Z Teatru Polskiego



*Irena Borowska*
*z uczuciem odegrała rolę Basi w sztuce Czechowa*
*„Wiśniowy Sad"*

# CZY PANI WIE, ŻE...

**...plamy z marmuru, alabastru i gipsu** wywabia się przez nasmarowanie ich papką, zrobioną z magnezji i benzyny.

■

**...kapnięcie cytryny na marmur** zostawia plamy niezatarte — bo cytryna wygryza sam kamień. Trzeba unikać krajania cytryny na marmurowych blatach stolików.

■

**...ciesząca się najszerszą** w Polsce popularnością instytucja finansowa, — mówię naturalnie o P. K. O. — wydała bardzo pożyteczną książeczkę „Jak oszczędzać w gospodarstwie domowem". Jest tam mnóstwo uwag praktycznych, które tu będziemy od czasu do czasu przypominać czytelnikom. Są też oryginalne i bardzo tanie przepisy kulinarne, z których jeden dzisiaj podaję.

Potrawa francuska — serce wołowe duszone.

Serce wołowe zamarynować w lekkim occie z pokrajaną marchwią, cebulą, tymiankiem, roztartym czosnkiem i ziarnkami pieprzu. Po dwuch dniach wyjąć z marynaty i naszpikować słoniną. Obsmażyć w łyżce tłuszczu. Gdy zrumieniło się, dodać marynatę, kilka skórek od słoninki i szklankę wody. Dusić dwie godziny na małym ogniu (można tu zastosować dogotowywacz). Próbować widelcem, gdy miękkie, dodać kilkanaście małych cebulek, obsmażonych w maśle lub w oliwie, gotować póki cebula nie zmięknie i sos się wysadzi, zaprawić mąką i wydać.

■

**...stary sposób na wytrucie myszy** (aktualny w sezonie letnim, gdy na letniskach często trafiają się myszy w mieszkaniu).

W miejscach, gdzie myszy się pokazują, postawić dwa spodeczki. Na jeden nalać trochę wody, na drugi nasypać cienko gipsu miałko sproszkowanego, i przykryć go cieniutko mąką. Myszy złakomią się na mąkę, a wraz z nią zjedzą i gips, co wywoła natychmiast pragnienie. Rzucą się do spodeczka z wodą — i niechybnie się strują, bo gips zalany wodą jest trujący.

■

**...straszliwie dokuczliwą plagę** stanowią karaluchy, będące utrapieniem niektórych kuchni i pluskwy, trapiące ludzi, szczególnie w porze letniej.

Jedynym niezastąpionym środkiem tępiącym, jest owadobójczy proszek SAM, wyrobu firmy DOBROLIN.

■

**...wszelkie zardzewiałe żelastwo,** stare klamki żelazne i okucia mebli antycznych, a także kraty żelazne etc. łatwo odrdzewić następującym sposobem. Natrzeć mocno plamy rdzawe gałgankiem zmoczonym w nafcie z trochą oliwy. Wytrzeć do sucha. Wyszczotkować dokładnie watą stalową.

■

**...jeżeli pani krawcowa wpiera** pani gwałtem suknię czy bluzkę z krótkiemi rękawami, mówiąc że tylko to się nosi — niech się pani najpierw dobrze sobie samej przyjrzy w lustrze: czy pani ramiona są dość ładne, aby je bez obawy ukazać wszem wobec i każdemu zosobna? I czy jest pani dość szczupła, aby sobie móc pozwolić na takie optycznie skrócenie linji figury.

Bezkrytyczne stosowanie się do mody jest oznaką braku wyrobionego gustu. A muszę panią poinformować, że Paryż bynajmniej nie nakazuje bezwzględnie i wyłącznie tylko krótkich rękawów: jest ich w kolekcjach wprawdzie większość — ale są i długie, bardzo ładne, oryginalnego kroju — no i znakomicie wyszczuplające...

*Dama Pikowa.*

*M. SZCZEPKOWSKA*

# KREW

(nowela)

Małe, bose, brunatne stopy, wbite mocno w grube płaty ciemnego sukna, migały po jasnej posadzce wprzód, w tył, wprzód, w tył... z błyskawiczną szybkością. Czasem przystawała na chwilę, by odgarnąć lepkie kosmyki ciemnych włosów, spadające na jej okrągłą zamorusaną, czerwoną od zmęczenia i lśniącą od potu twarzyczkę. Skrzypiące pod stopami deski schodów przyśpieszały tempo rozpędzonych po posadzce nóżek.

— Śniadanie pod szósty zaniosłaś?

Przystanęła, by spojrzeć przez frendzle splątanych włosów w suchą, ostrą, żółtą, jak cytryna, twarz zaglądającej przez uchylone drzwi kobiety. Potem wzrok jej ześlizgnął się pokornie wzdłuż granatowych pasków fartucha ku stopom płaskim, szeroko rozstawionym.

— Tak, proszę pani...

— Panu pod czwarty wody zanieś!

Pomknęła po skrzypiących deskach korytarza. Nacisnęła klamkę; weszła. Dojrzała w półmroku zaciągniętych stor nagie plecy mężczyzny mocującego się z nakładaną przez głowę koszulą i oznajmiła cieniutkim głosikiem:

— Wodę przyniosłam...

— Postaw... — warknął zduszony płótnem i zniecierpliwieniem głos.

Odwróciła się ku drzwiom i wtedy wzrok jej mimowoli zawadził o marmurowy blat nocnego stolika, gdzie między zegarkiem a rozwartą portmonetką pełną srebrnych monet leżały dwa grube pierścienie, połyskujące złotem...

Zadudniła bosemi stopami po schodach, porwała z sionki pęk zwiniętych dywaników i wybiegła na podwórze. Z rozmachem drobnych, jeszcze dziecięcych ramion biła trzepaczką w rozwieszone na drążku kolorowe płachty.

— Helkaaa... Helka!

Stojący za sztachetami obdartus wykrzywiał się do dziewczynki:

— Czego tu chcesz? wynoś się!...

— Helka...

Wzruszyła pogardliwie ramionami i sięgnęła znowu po trzepaczkę.

— Helka, pójdziesz ze mną dziś wieczór na rzekę, co? Łódkę se od Franka pożyczyłem, pojedziemy na kępę... no?

— A już, z łobuzami się będę włóczyła...

— Cóż to, mamy się boisz?

— Wynoś się, pani powiem...

— Helka, wódka będzie, no... pójdziesz?...

— Patrzcie go, wódka-... od ziemi nie odrósł a wódka... — zaperzyła się dziewczynka, stając na palcach i usiłując zgóry spojrzeć na chłopaka.

— Jak się ściemni przyjdę pod kuchnię, będę gwizdał... przyjdziesz?...

Pokazała mu język i ściągnąwszy energicznym ruchem chodniki z drążka, popędziła ku domowi.

— Helka... Heeelka... — gonił za nią świszczący szept obdartusa.

W brudnym, nakrytym płachtą koszyku piszczały kurczęta. Wślizgnęła się zręcznie między szarą, cuchnącą spódnicą handlarki a pasiastym fartuchem pani.

— Helka, Helka... — pogonił za nią po schodach ostry głos kobiecy.

— Helka... — pisnęła cichutko wyglądająca z uchylonych drzwi dziewczynka w niebieskiej perkalowej sukience, z pod której wystawały dwie różowe, tłuste nóżki, obute w skórzane sandałki. — Helka! — i czyniła gwałtowne znaki przyzywające, które zburzyły jej gładką, krótko ostrzyżoną i starannie wyszczotkowaną czuprynkę.

Mała służąca przystanęła z wahaniem.

— Czego chcesz?

— Popatrz... — dziewczynka w niebieskiej sukience zmrużyła jedno oko i wyciągając pulchną piąstkę rozwarła zaciśnięte palce. W zagłębieniu różowej dłoni leżała zmatowiona wilgocią gorących palców srebrna moneta.

— Skąd to masz?

— Wzięłam sobie. Mama zapomniała zamknąć biurka i wzięłam... hi... hi... hi, tylko nic nie mów!

— Jak mogłaś! Połóż to zaraz skąd wzięłaś... Pani zobaczy i będzie krzyczeć.

Nie, nie... tam jest dużo, dużo pieniędzy. Widziałam nieraz, jak mama wyjmowała i wzięłam. Tylko nie mów. Pójdziemy za to do kina i lodów sobie kupimy i wafli...

— Nie chcę! — cofnęła się wtył gwałtownie — tak nie można, to grzech... za kradzione pieniądze.

— Głupia jesteś, przecież nikt się nie dowie; powiem, że byłyśmy w lesie...

— Nie można... — potrząsnęła stanowczo ciemną roztarganą główką — Pan Bóg wszystko widzi.

Helka, Helka! dowołać się nie można... Helka!... Kobieta w pasiastym fartuchu czekała w dole schodów nad koszykiem piszczących kurcząt. Wystawiały z koszyka swoje ruchliwe, pstre łebki, otwierały szeroko dzioby i patrzyły to na panią to na służącą okrągłemi rozmruganemi oczami.

Przykucnęła przed koszykiem w dziecinnem rozciekawieniu.

— Osiem kupiłam... myślę, że wystarczy. Małe, ale ładne. Weź nóż z kuchni ten duży, prędko... no ruszaj, cóż się gapisz? kurcząt nie widziałaś? Musisz je zaraz zarżnąć, wypaproszyć...

Dziewczynka podniosła się z ziemi i spojrzała na kobietę w osłupieniu:

—Ja... ja?...

— Od czego jesteś? cóż to mam się sama paprać?... łba kurczęciu urżnąć nie potrafisz, czy co?... Czego stoisz? ruszaj! Dziewczynka stała nieruchoma patrząc kolejno to na panią, to na kurczęta. Drżała, napróżno starając się stłumić wzdrygnienia wstrząsające jej dziecięcą jeszcze pierś.

— Nie mogę, ja nie mogę!... — wybuchnęła nagle łkając. Przysiadła na piętach i płakała roczpaczliwie zakrywając twarz brudnemi paluszkami dziecinnych rąk. Uchwyciła się krawędzi koszyka i uczuwszy pod palcami miękkość ciepłego

falującego i drgającego pierza rozszlochała się żałośnie.

— Czego beczysz, cóż to znowu? będziesz ty cicho! — tupnęła nogą pani.

— Nie mogę — zanosiła się od płaczu... — ja... ja nigdy... ja nie potrafię... Nie... nie!

Różowa twarzyczka w okoleniu jasnej, starannie wyszczotkowanej czuprynki przechyliła się ciekawie przez poręcz.

— Czego tu chcesz? — Rozgniewała się pani. — Idź zaraz na górę albo do ogrodu. To nie dla ciebie widok, słyszysz! No marsz — zwróciła się do służącej — Cóż to, będę kogo osobno najmowała do zarzynania drobiu? Widzisz ją, delikatna! Chcesz, to cię do domu odeślę... takich, jak ty na tuziny znajdę.

Lokator z pod czwartego wyszedł na korytarz i ciekawie pochylił się nad poręczą schodów.

— No, niech pan tylko powie — zwróciła się do niego pani, stawiając po schodach swoje płaskie, ciężkie stopy — kurczę jej zarżnąć kazałam, a ta mi beki wyprawia. I ktoby to pomyślał! Dziewczyna pracowita, porządna, z łobuzami się nie włóczy, nie kradnie... a takie grymasy nie wiedzieć skąd! — Przystanęła na chwilę i krzyknęła w kierunku znikającej za zakrętem schodów niebieskiej sukienki córki: — Jeszcześ tu? zabieraj się stąd zaraz, to nie dla ciebie... mówiłam ci już!

Mężczyzna schodził ze schodów śmiejąc się. Przystanął nad szlochającym dzieckiem z rękami w kieszeniach i zadowoleniem rozlanem na tłustej, czerwonej twarzy.

— Cóż to, kury się boisz? — zagadnął.

Podniosła ku niemu zmiętą, rozczerwienioną twarzyczkę i znów ją pochyliła. Grube krople łez spływały po jej zamorusanych policzkach i spadały gorące i słone na zakurzone, szaro - bronzowe pierze trzepoczących się ptaków. Czuła pod palcami ciepło ich kruchych ciałek, trzepotanie dygocących serc, drżenie febryczne trwogi, napełniając ją żalem niewysłowionym.

Stojący nad nią mężczyzna przyglądał jej się ciekawie.

— Ze wsi jesteś, a kury zabić nie umiesz? Ładna z ciebie gospodyni będzie! zamąż nie wyjdziesz...

Roześmiał się głośno, rechotliwie, aż mu poczerwieniał gruby podbródek, wychylający się z rozwartego kołnierza sportowej koszuli i odszedł podrygując tęgiem ciałem i śmiejąc się głośno, z zadowoleniem.

Patrzała za odchodzącym ponuro z pod splątanej grzywy ciemnych włosów. Dźwignęła z ziemi koszyk i trzasnęła głośno drzwiami ciemnej, zarzuconej drzewem i słomą komórki. Wyciągnęła kurczę z koszyka i trzymając je przyciśnięte do siebie starała się otrzeć ręką łzy zasłaniające jej wzrok. Kurczę piszczało zcicha i wykręcając głowę patrzało w twarz dziewczynki jednem śmiertelnie przerażonem okiem. Helka zacisnęła zęby. Przytrzymując ptaka szukała po ziemi noża, znalazła i uchwyciła mocno drewniany trzonek. Dotknęła ostrzem szyi ptaka i zamknęła oczy, ale zaraz je otwarła. Patrzała szeroko rozwartemi źrenicami, jak z pod ostrza buchnęła krew i polała się na ziemię cienką strugą brocząc jej ręce. Słyszała przeraźliwy, bolesny pisk ptaka, czuła pod ręką gwałtowne drgnienia konającego ciałka, ale nie było w niej już żalu. Coś pękło w niej nagle i spłynęło z jej duszy wraz z krwią świeżą i ciepłą ściekającą na ziemię. Patrzała obojętnie na zwisający skrwawiony łeb ptaka; bezwiednie zacisnęły się jej palce na martwem, bezwładnem jego ciele. Wstrząsnęła nim wprawiając w ruch wahadłowy zwisającą głowę i wargi jej rozchyliły się ukazując w dziwnym uśmiechu zaciśnięte zęby.

Woń krwi biła jej w nozdrza, zmięszana z wonią ptasiego nawozu. Dostała nagłego zawrotu głowy i złote grube pierścienie leżące na nocnym stoliku w poko-

ju Nr. 4 zamigotały przed jej oczami... Widziała je teraz wyraźnie, wyraźniej niż wtedy, gdy spostrzegła je rzeczywiście. Widziała żółtawy odblask, jaki rzucały na marmurowy blat stolika i srebrną kopertę leżącego obok zegarka; wyraźnie rozwartą dużą portmonetkę z bronzowej skóry wypchaną srebrnemi pieniędzmi. Przymknęła oczy by przedłużyć ten dziwnie kuszący obraz; rozwarła zaciśnięte zęby i przesunęła językiem po zeschniętych wargach.

Rzuciła martwego ptaka i sięgnęła znowu do koszyka. Wywlekała spłoszone, rozkrzyczane kurczęta i mordowała je z pośpiechem, zapałem, zaciętością, nurzając dziecinne dłonie we krwi buchającej z rozdartych gardzieli. Objął ją żar gorączki; w głowie oczadzonej wyziewami krwi i żądzą mordowania wirowały dziwne obrazy; przelewały się strugi srebrnych monet, migały twarze obdartusów wykrzywiające się przez sztachety ogrodzenia, złote pierścienie, różowe piąstki ściskające skradzioną monetę... i znowu twarz z za parkanu, usta wepchnięte w szczelinę między deskami i szept nakazujący: Helka... Helka...

Wreszcie ręce jej szukające w koszyku natrafiły na pustkę i dziewczynka podniosła się z klęczek z poczuciem ulgi i głębokiego zadowolenia.

— Będą na obiad kurczęta — szczebiotał jej dźwięczny głos kobiecy w takt skrzypiących schodów.

— Bardzo lubię młode kurczęta... — Odpowiedział mężczyzna — zwłaszcza jeżeli tłuste...

— — — — — — — — — —

Stąpała cicho sienią, miękko, ostrożnie kładąc bose stopy na skrzypiących deskach podłogi. Szła w mroku z wyciągniętą przed siebie ręką.

W ogrodzie, pod drzewami leżała gęsta ciemność. Światło z okien padało nikłym brzaskiem na czerniące się drążki sztachet. Jakiś cień przemknął się za niemi. Zaszeleściały kroki. Ktoś zagwizdał.

Szli spiesznie ulicą wzdłuż parkanów. Światła płynące z okien przeciekały przez gałęzie drzew, by wyłowić z mroku idących.

— Patrz — mruknął i błysnął w świetle zielonkawem szkłem butelki — a tu... powąchaj no... kiełbasa! Rozpalimy ognisko...

— Papierosy masz? nie... ja mam. — Wyciągnęła z pod chustki pomięte kartonowe pudełko: — To ten z czwartego, on wszystko po pokoju rozrzuca, pieniądze... papierosy... Wzięłam sobie! — Zsunęła nieco chustkę z ramienia, podparła się pod bok i szła, starając się kołysać w biodrach, jak widziała nieraz, że tak chodzą spacerujące ulicami o zmroku dziewczyny.







Hanka Brzoskówna

**Z popisu szkoły Ireny Szymańskiej**

W ubiegłą niedzielę odbył się w gmachu Filharmonji, w sali im. Karłowicza popis uczenic szkoły tańca artystycznego i rytmiki Ireny Szymańskiej. Licznie zebrana publiczność mogła stwierdzić, że rezultat dwuletniej zaledwie pracy tej szkoły jest bardo dodatni. Uczenice wszystkich trzech klas zrobiły ogromne postępy od roku zeszłego. Program popisu zawierał tańce solowe i zespołowe, klasyczne i ludowe. Wyczuciem tańca, nadaniem mu treści i opanowaniem ruchu wyróżniła się Hanka Brzoskówna. Wykonała ona trudną barkarollę Czajkowskiego oraz wspólnie z J. Świątecką gawota rococo. Pozatem na wyróżnienie zasługują — Zabiełłówna, Szczepkowska, Majkowska i Stankiewiczówna.



*Katarzyna Hepburn i Herbert Marshall w scenie z filmu „Zbuntowana”. Fot. R. K. O. Radio*

**„Marokko“** Światowid

Siedem lat przy obecnym żywiołowym tempie życia, w epoce radia i samolotu, to okres czasu bardzo długi. Siedem lat w życiu filmu — to wieczność. Film jest jeszcze młody, wciąż rozwija się, doskonali, wciąż idzie naprzód. Wraz ze stałym rozwojem techniki kinowej, z nowymi zdobyczami w dziedzinie zdjęć fotograficznych i dźwięku wzrastają wymagania publiczności.

Przed siedmiu laty Józef von Sternberg nakręcił „Marokko“, będące wielkim triumfem reżyserskim „człowieka, który odkrył Marlenę“. Przed siedmiu laty prawie że nieznana aktorka podbiła publiczność całego świata.

Dziś Józef von Sternberg jest reżyserem znanym i cenionym, Marlena Dietrich pobiera królewskie wynagodzenie, Gary Cooper jest jednym z najbardziej popularnych i „kasowych“ aktorów, gwiazda Adolfa Menjou zbladła i — zdaje się — dogasa.

Ciekawą jest rzeczą porównać i zanalizować nasze wrażenia dzisiejsze w zestawieniu z tym, co odczuwaliśmy lat temu siedem; stwierdzić, czy nasze przychylne ustosunkowanie się do „Marokka“ z przed tylu lat wytrzyma próbę czasu.

I co się okazuje? Mimo ogromnego rozwoju sztuki filmowej, mimo siedmiomilowych kroków techniki, siedmioletnie „Marokko“ nadal nas wzrusza i porywa. Możnaby zarzucić w porównaniu z dzisiejszością pewne usterki techniczne zdjęć, możnaby skrytykować parę scen, rozgrywających się w tempie wolniejszym, możnaby mieć zastrzeżenia co do czystości dźwięku, ale dodatniego wrażenia filmu to nie zepsuje. Te nieliczne usterki giną przy znakomitej szczerości gry aktorów, przy wiecznie młodym nastawieniu reżyserskim.

Ciekawe jest, ile dzisiejszych „superfilmów“ wytrzymałoby ogniową próbę siedmiu lat!

Dobrze znajomi aktorzy są jednak inni. Marlena, świeższa i młodsza, wnosi do filmu wielką prawdę przeżycia, nie spaczoną późniejszą manierą; „big boy“, Gary Cooper młodzieńczą szczerością rozbraja widza, wytworny Adolf Menjou czaruje swą dyskretną elegancją i dżentelmenerią.

Szczęśliwe posunięcie dyrekcji „Światowida“ pozwoliło nam odświeżyć miłe wspomnienia, a tym którzy „Marokka“ nie widzieli, da okazję obejrzenia naprawdę dobrego filmu.

*J.*

**Z WYSTAWY PSÓW RASOWYCH**



*Biały pudel Dżok, własność pp. Krzemienieckich, otrzymał I nagrodę w klasie otwartej*



REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem porozumieni u się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.**

# F I L M U



*Odtwórca roli głównej słynnego „Mordercy" Edward Arnold i Tala Birell w dramacie „Zabiłem" (według Dostojewskiego „Zbrodnia i Kara") reżyserji J. v. Sternberga. Najbliższa premiera w „Colosseum"*

**„Droga do Rio"** Colosseum.

Niedawno, z okazji premiery filmu „Zwyciężyły kobiety", podkreślałem wyższość jakościową obrazów pochodzenia europejskiego. I oto w niedługim czasie nadeszło nowe potwierdzenie wypowiedzianych wówczas poglądów.

Inteligentny reżyser europejski Robert Siódmak nakreślił film, piętnujący jedną z najczarniejszych plam współczesnego życia, handel żywym towarem. Film, posiadający pewne zabarwienie propagandowe ukazuje w szeregu ciekawych scen niecny proceder handlu białymi niewolnicami. Interesujący, w miarę sensacyjny scenariusz przenosi nas z podejrzanej szkoły tańca w Barcelonie na pokład okrętu, wiozącego do Rio de Janeiro ładunek nieświadomych swych dalszych losów młodych adeptek tańca, zaangażowanych do teatrzyków, kabaretów i dancingów południowo - amerykańskich. Świetnie wyreżyserowane i znakomicie zmontowane sceny pokazują w celowych skrótach i właściwym oświetleniu całe działanie sprawnie zorganizowenej zbrodniczej szajki. Reportażowa prawda sytuacji, suche zanotowanie faktów, łączą się dzięki świetnej reżyserji w ciekawą i żywą sensacyjną całość, sfilmowaną bez zarzutu, przeprowadzoną konsekwentnie i interesująco, ożywioną utrzymanym na właściwym poziomie humorem.

Świetnie dobrane typy o zdecydowanych, kontrastowo zaznaczonych sylwetkach, staranna gra, żywe tempo akcji i atrakcyjny temat stwarzają film ciekawy i godny obejrzenia.

Ładniutka, przyjemna i zgrabna Kate von Nagy właściwie obsadzona i szczęśliwie pokierowana przez reżysera miała okazję do zaprezentowania się z najlepszej strony. Jej prostota, naturalność, wdzięk i uroda zostały należycie wyzyskane, umożliwiając młodej gwiazdce wykazanie swych walorów aktorskich.

Interesujący Jean Pierre Aumont w roli dziennikarza miał szerokie pole do popisu. Raz beztroski lekkomyślny, młodzieńczy, z werwą i zapałem do życia i do pracy, to znów pomysłowy detektyw-reporter, to znów świadom swych możliwości przeciwnik—grał szczerze, poprostu, bez sztuczek i tricków, pokrywając pewne niedociągnięcia aktorskie wrodzonym wdziękiem i młodzieńczym humorem.

Gaston Modot bogatą mimiką, inteligencją gry i szerokością skali możliwości aktorskich wyniósł niewielką rolę herszta szajki i nieszczęśliwego ojca na pierwszy plan przykuwając tragiczną maską widza. Moreno, Ferez, Estella (Suzy Prime) — członkowie niecnej szajki kanalii, grali interesująco, ukazując od czasu do czasu swe prawdziwe oblicze ludzkie, oblicze, niepokojone obawą tropionego zwierza i nękane wyrzutami sumienia.

Dobre zdjęcia, staranna charakteryzacja, i ciekawy montaż pozwalają wróżyć filmowi powodzenie.

*J.*

# ŚWIAT FILMU

## Luiza Rainer nagrodzona za najlepszą kreację 1936 r.

Luiza Rainer zyskuje coraz większą sławę. Jej kreacja w „Królu Kobiet" zdobyła sobie takie uznanie, że związek krytyków filmowych, który corocznie ogłasza listę najlepszych kreacyj aktorskich, w tym roku nagrodził Luizę Rainer.

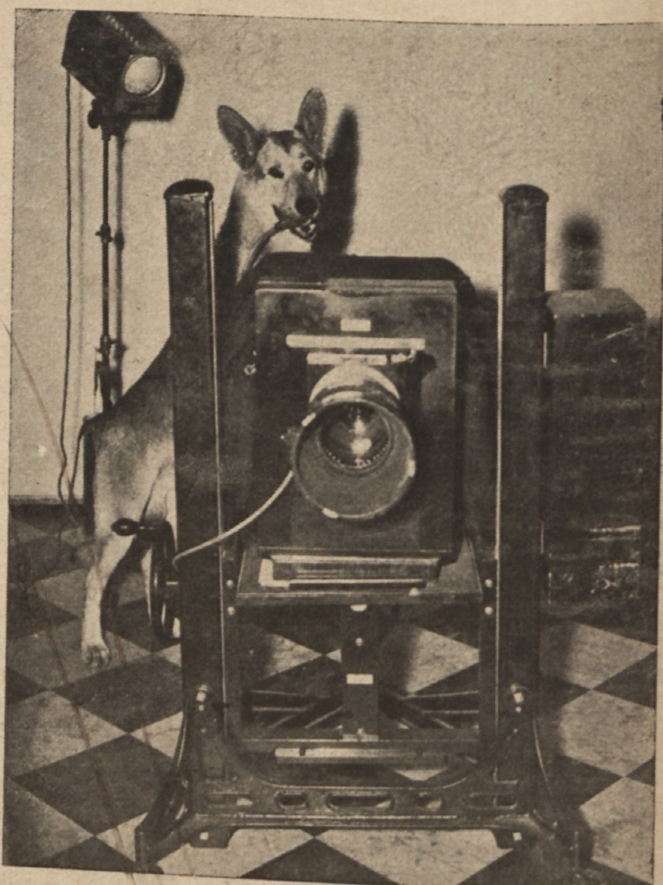
Luiza Rainer odtwarza główną rolę w filmie „Ziemia Błogosławiona". Obok niej występuje Paweł Muni.

* * *

...W Hollywood jest 1131 aktorów, którzy mówią różnymi językami. W tym jest tylko 5-ciu Chińczyków na stałej liście aktorów. To też gdy w filmie „Ziemia Błogosławiona" miał brać udział tłum statystów — Chińczyków, trzeba było sprowadzić ich ze wszystkich stron.

Wśród olbrzymiej masy obcojęzycznych aktorów jest: 417 Francuzów, 372 Hiszpanów, 278 Niemców, 70 Włochów i 38 Polaków.





*Pies „Błysk" jeden z głównych aktorów filmu „Dzikie Ścieżki". Fot. R. K. O. Radio*

## Irena Dunne i John Boles realizują film

Po słynnej „Bocznej Ulicy" Irena Dunne i John Boles poraz drugi złączeni zostali dla obrazu, produkowanego przez RKO p. t. „Joy of Loving". Będzie to tak modny obecnie komedio-dramat, w którym „śmiech przez łzy" gra główną rolę. Muzykę i piosenki pisać będzie Jerome Kern do słów Doroty Fields.

## Oskar Strauss zaangażowany do Hollywood

Po bardzo dużym sukcesie ostatniego filmu Bobby Breena, nowej 8-letniej gwiazdy ekranu, producent filmu Bobby Breena — p. Sol Lesser, przywiózł sam pierwszą kopię tego filmu do Wiednia. Na pokaz, urządzony w Wiedniu zaproszono m. in. Oskara Straussa. Wielki kompozytor zachwycił się głosem młodego śpiewaka i wyraził chęć napisania dla niego piosenek. Pan Sol Lesser skorzystał ze sposobności i z miejsca zaangażował Oskara Straussa, który wyjechał już do Hollywood. Obecny film Bobby Breena nosi tytuł „Rainbow on the River" (Tęcza nad Rzeką).









REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a